

Korespondencja z Janem Bielatowiczem (1913-1965).



Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Wcześniej zmarły Jan Bielatowicz, krytyk, pisarz i redaktor, był barwną postacią w Londynie, gdzie go poznałem. Terminowałem w jego miesięczniku „Życie” i pamiętam jeszcze pochwały moich filologicznych artykułów, które spotkały się z jego szczodłą aprobatą.

Bielatowicza spotkałem w Londynie po przyjeździe ze studiów w Irlandii. Mogło to być już w 1950 roku. Być może przedstawił mnie jemu Wojciech Gniatczyński, mój kolega z irlandzkich studiów, który znalazł zatrudnienie w katolickim ośrodku wydawniczym „Veritas”. W owym czasie zacząłem pisać wiersze i prace filologiczne próbując drukować je w prasie emigracyjnej.

Przypominam sobie moją znaczniejszą rozprawkę o niemieckich tłumaczeniach *Pana Tadeusza*, którą Bielatowicz przyjął do miesięcznika „Życie” i bardzo chwalił.

Był jednym z nielicznych krytyków literackich na emigracji. Nie brakowało mu odwagi, i nie wstydził się bronić polskiej tradycji i ostrzegać przed odszczepieństwem. Wołał o miłość do ojczyzny i języka w patetycznych słowach:

A więc panowie akademicy: macie rację, że was nie bawi polska kultura, skoro w duszach waszych zagościła już na dobre kultura inna. Tylko, że to nie usprawiedliwia obojętności dla kultury macierzyńskiej. Bo tylko ludzie bez ambicji lub bez sumienia mogą się wyrzec swej matki. Strzeżcie się więc, abyście nie zgubili polskich serc. Bo z tej straty – nie wytłumaczycie się ani swoim ani obcym. Nie wytłumaczycie się żadnym językiem świata ani ludziom ani Bogu.

W jednym z numerów „Życia Akademickiego” formułował swoje sensowne postulaty pod adresem wychodźstwa:

Zadania polskiej emigracji kulturalnej są dwojakie: dotrzymywać kroku rozwojowi kultury w Polsce i próbować

gromadzić i uzupełniać te dobra kulturalne, których Kraj nie może dziś wytworzyć. Troskę o przyszłość pozostawmy Krajowi.

W 1954 roku Bielatowicz pojawił się na moim ślubie w Londynie, gdzie na przyjęciu poweselnym wygłosił dowcipne przemówienie podkreślając bratanie się kresów, Polesia i Śląska w osobach protagonistów ceremonii.

Z racji drukowania w piśmie Bielatowicza utrzymywałem z nim luźną korespondencję, w której z czasem zaczęły się pojawiać echa jego reakcji na ataki ze strony młodych wydających pisma „Życie Akademickie”, a później „Merkuriusza” i „Kontynenty”, z którymi byłem związany.

Już w liście z 30.12.1958 roku skarżył się:

Że moje sądy nie podobają się merkuriuszowej młodzieży literackiej, wiem już nie od dziś. Są wśród niej tacy, którym ułatwiałem pierwsze kroki literackie w druku, a którzy potem wymyślali mi niegrzeczными epitetami. Inny poeta, gdym do jego utworów dorobił przecinki, nawymyślał mi od złodziei, jeszcze inny dawał mi pouczenia, kogo należy uważać za emigracyjnego poetę.

Po pożegnalnym numerze starego „Merkuriusza” nie ma złośliwości, do której by wychowana na wzorach zachodnich w duchu demokracji, młodzież nie była zdolna. W przedwojennej Polsce istniały pisma, które się utrzymywały z paszkwilantstwa. Redaktor odpowiedzialny posiedział trochę, ale sadła zalał za skórę komu chciał. Na emigracji zadanie jest łatwiejsze, ponieważ obelg nikt nie piętnuje.

Z nieco większą nadzieją w ‘Notatkach’ „Życia” pisał:

Wystrzelono już w emigracyjną próżnię kosmiczną nową rakietę pod nazwą „Kontynenty-Nowy Merkuriusz”. Bardzo sympatyczne jest to, że w pierwszym numerze nowego „Merkuriusza” zespół odwołał, późno, ale szczerze, znaczną część połajanek z ostatniego numeru „Merkuriusza”. Miło przeczytać kulturalne i rozsądne uwagi na ten temat Wojciecha Gniatczyńskiego i Bogdana Czaykowskiego. Poza tym życzymy powodzenia na nowej drodze życia. I koniecznie porządnego korektora. Brak korektora nie przyniesie szkody chyba tylko nowoczesnej poezji.

Nieco później w dyskusji w „Kontynentach” komentował w liście:

Zabawna jest ta wasza dyskusja, z której wynika, że jeśli się czegoś nie czytuje, to znaczy że to „coś” jest złe, czyli argument z ignorancji. Tak przynajmniej, raczej cynicznie, wypowiedziała się opozycja przeciw „Wiadomościom”. Nie czytamy, bo są złe. Bardzo czarujące. Ostatecznie, oprócz Mieroszewskiego, Gombrowicza i Miłosza, ci sami autorzy obsługują „Wiadomości”, co „Kulturę”. Stąd by wynikało, że nawet geniusz potrafi zmienić się w grafomana zależnie od tła. Coś jak kameleon. A już najbardziej kapitalnie brzmią sądy o wszystkich autorach spoza grupy „Kontynentów” jako o urodzonych grafomanach. Czerniawski czyta cudze wiersze tylko po to, aby stwierdzić genialność własnych.

Zaprosiłem Bielatowicza do zabrania głosu w kwestii literatury na emigracji po artykule Danilewiczowej. Odpowiedział:

Nie chciałbym jednek zabierać głosu w sprawie rzeczy Pani Marii, bo niezależnie od jej metody krytycznej (cenzurki) i samej oceny wartości poszczególnych pisarzy emigracyjnych (z jej ujęcia wynika, że wszystko, co dotąd na emigracji napisano to mała kropelka wody wobec gigantycznych walorów poezji grupy „Kontynentów”) musiałbym chyba napisać drugi takich samych rozmiarów raport ze sprostowaniami ogromnej ilości błędów, omyłek,

przeinaczeń, opuszczeń itp. Pani dr pisała ten referat, jak sądzę, na kolanie i upstrzyła go setką błędów rzeczowych, o których pewne (np. że Czuchnowski ‘objawił się jako poeta dopiero w 2 Korpusie) trącą skandalem zważywszy, że pochodzą spod pióra poważnej pisarki. Nie mam osobistych porachunków z Autorką, bo aż nadto pochlebnie mnie w swej pracy powitała, ale tak naprawdę nie można. To oczywiście, tylko dla Pańskiej prywatnej wiadomości, bo nie chciałbym szanownej Autorki urażać.

Muszę powiedzieć, że bardzo mi się podoba Sito w swojej roli w Kraju i niesłusznie „Kontynenty” go zaatakowały. On jednak wyciągnął praktyczne konsekwencje ze swej antyemigracyjnej postawy, zupełnie inaczej niż np. Taborski.

Obiecany artykuł napotkał jednak na przeszkody.

Co się tyczy mojego artykułu, o czym mi Pan przypomina, musiałem zmienić zdanie. List, jaki PP Czaykowski i Sulik, redaktorzy „Kontynentów” napisali do „Dziennika” po mojej recenzji z ich książki, utwierdził mnie w przekonaniu, że nie będzie między nami nie tylko porozumienia, ale nawet trudno znaleźć jakąś wspólną kulturalną bazę. Coraz więcej mnie dziwi fakt, że tak szumnie sławiony wpływ obyczajów anglosaskich na młode pokolenie, zamiast nauczyć go manier

publicystycznych, obraca się w umysłach i temperamentach tego pokolenia w niwecz. Styl dyskusji redaktorów „Kontynentów” (myślę o wyżej wspomnianych) przypomina obyczaje panujące w Mongolii Zewnętrznej. Nie umiałbym w takim gronie powiedzieć ani słowa. Jeśli ci panowie chcą mieć za wszelką cenę rację, niechże ją sobie mają dla siebie.

W kolejnym liście z 1962 roku Bielatowicz donosił:

Artykułu, o którym kiedyś mówiliśmy, nie napiszę, bo mam już wypełniony kalendarzyk zajęć aż do czerwca b.r. Ale bardzo chętnie wezmę udział w wieczorze na temat – Czy pogrzebać „Kontynenty”? Prosiłbym jednak o prawo do gadania przez jakieś 25 minut, bo chciałbym wygarnąć wszystko i od serca, nie tyle na osobiste tematy, jak to bywało w zwyczaju Kontynentalistów, lecz na tematy ideowo-pokoleniowe. Nie byłaby to zresztą, jak śmiem tuszyć chała ani kit, lecz z lekka wesoła pogaduszka. Myślę, że pomysł jest ciekawy i może rozpaść widownię (if any). Czekam na odpowiedź w tej materii.

Przy sposobności przepraszam, że nie przywitałem się z Panem na zebraniu z Zawieyskim, ale byłem tak wściekły na mówcę za te brednie, które plótł jak Piekarski na mękach, że po prostu uciekłem, żeby nie zrobić jakiejś karczemnej

awantury. Sztandarowy katolik przyjeżdża z misją politruka i do ludzi mieszkających na Zachodzie prawi dyrdymały w stylu Chandry Umyńskiej lub zebrania komsomolców w Stalinowej Wólce opatrując to cytatai z Papieża. Aż wstyd pomyśleć, jak nisko się potrafią niektórzy stoczyć, gdy im zasmakuje dygnitarstwo. Więc nawet nie mogłem ust otworzyć po tym ponurym widowisku i słuchowisku i wypadłem jak oparzony, byle najdalej.

Kiedyś w naszej korespondencji padła taka opinia Bielatowicza o wspólnym przyjacielu:

Wojtka Gniatczyńskiego zgubił obóz niemiecki. Wyszedł z niego zupełnie rozbity fizycznie i chyba nie wróci nigdy do normalnego funkcjonowania intelektualnego. Wielka szkoda.

Kiedy w 1962 roku podjąłem się prowadzenia samemu „Kontynentów” Bielatowicz się ucieszył.

Mam nadzieję, że pismo to nareszcie posteruje we właściwym kierunku, tzn. nie zrzekając się odrębności i własnej niezależności, włączy się do nurtu twórczości ogólnonarodowej bez demagogicznego i jałowego

efekciarstwa i wystawiania języka wszystkim innym rodakom zajmującym się kulturą poza łamami „Kontynentów”. Niech się Pan nie przejmie „odejścien” różnych obiecujących talentów. Od dziesięciu lat obiecują i niczego nie dokonali. Czaykowski się marnuje – wielka szkoda. Sulika warto utrzymać przy filmie. Ostatnio bardzo ciekawie pisze Darowski. Czerniawski może z pożytkiem pisać o poezji angielskiej, byle sam nie pisał wierszy. Natomiast z lekkim sercem pozbyłbym się Taborskiego jako publicysty. To jest arogant i nic więcej. Jego oceny i wystąpienia mają charakter wieców w powiatowych miasteczkach. Owszem, sporo wie on o literaturze angielskiej i gdyby się do tego ograniczył, mógłby być pożyteczny. Niestety, usiłuje grać rolę proroka. Ta jego pogrożka, że odejdzie „w inny świat” brzmi infantylnie...

Mnie się też dostała jego ironia, kiedy napisał w następnym roku:

Cieszę się ogromnie, że Pan zechciał rzucić okiem na moją recenzję wierszy Hemara i dziękuję za informację, że są to „zręczne wierszyki”, a nie poezja. Uzbrojony w tę wiedzę, rad bym ją kiedyś uzupełnić Pańskim doświadczeniem, co nazywamy poezją.

O ile pamiętam, sprawa została w zawieszeniu.

O Janie Bielatowiczu:

<https://www.cultureave.com/pisarz-ktory-nie-zasluzyl-na-zapomnienie-jan-bielatowicz-1913-1965/>

Narracje
wyobcowanej.
O prozie Janiny

Surynowej- Wyczółkowskiej – część 2.



Janina Surynowa-Wyczółkowska, San Juan, Argentyna, 1974 r., fot. Archiwum Emigracji w Toruniu.

Jolanta Pasterska (*Uniwersytet Rzeszowski*)

W powieści *Jesień Gringi* zauważamy także kolejne odstępstwo

od stereotypu. Jest ono związane z macierzyństwem. Matka pięciorga dzieci, w tym jednego niepełnosprawnego, początkowo odbiera bycie rodzicielką jako naturalną powinność kobiety. Pod wpływem potomstwa i emigracji jej pogląd na macierzyństwo zmienia się. Po pierwsze dzieci wcale nie chcą być chowane pod matczynym kloszem (bohaterka chciała, by żyły z dala od wojen i totalitaryzmów), ale wyruszają w świat, są wolne i pragną podróżować (w powojennej ojczyźnie byłoby to niemożliwe). Rodzi to w bohaterce sagi z jednej strony poczucie właściwego wyboru miejsca zamieszkania, ale i osamotnienie: „Zostałam sama. Tęskniłam za nimi” (JG, s.145) – przyznaje Teresa. Przeniesienie niespełnionych marzeń własnych na potomstwo wcale go nie uszczęśliwia. Po wtóre, poświęcenie się wychowaniu dzieci spowodowało odłożenie własnych aspiracji i ambicji na plan dalszy. To ogrywanie roli matki nie niesie satysfakcji, ale rozczarowanie.

Janina Surynowa-Wyczółkowska chce powiedzieć, że kulturowe i społeczne ramy ograniczają wolność wyboru, nie pozwalają się cieszyć pełnią życia. Jej bohaterka jest szczęśliwa tylko wówczas, gdy o nich zapomina. Ale już młode pokolenie (jej dzieci i wnuki) narzuconej im roli społecznej nie przyjmuje[14].

Wyczółkowska kreuje osobliwą przestrzeń, w której ściera się egzotyka i obcość z polskimi powinnościami. Mimo że tradycyjnie jej bohaterka anektuje przestrzeń domową i występuje przede

głównie w roli matki i żony (gospodyni domowej), to autorka powieści przypisuje jej jeszcze jedną rolę. Dzieci powodują, że Gringa staje się łącznikiem pomiędzy polskością a lokalnością. Swoistym pomostem pomiędzy oboma kulturami: kraju rodzinnego i kraju zamieszkania. Właśnie na takiej zasadzie funkcjonuje ona w obszarze społecznym. Na emigracji przestrzeń domowa nie gwarantuje już spełnienia się w wyznaczonej przez patriarchat roli. Znaczenie domu – ostoja rodziny, tradycji, patriotyzmu, na uchodźstwie stopniowo zanika. W tym kontekście symbolicznego znaczenia nabiera sprzedaż dworku, owej „polskiej idylli”, która na obczyźnie idyllą być przestała.

Tym próbom adaptacji towarzyszą nieustanne tarcia i konflikty. Mimo że autochtoni są opisywani przez Teresę jako ludzie otwarci, gościnni to zawsze są przez nią postrzegani jako obcy, odmienni. Kwintesencją wieloletniej współegzystencji z miejscowymi może być dialog Teresy z argentyńską znajomą:

Cóż? Ty jesteś bardzo biała, a ja ciemna. Widocznie dlatego nie możemy się zrozumieć (JG, s.214).

Takie napięcia wyczuwane są także w kręgu rodziny. Mąż i jego rodzice, a także dzieci mają za złe matce otaczanie się polskimi „reliktami” i tkwienie w przeszłości. Jej polskie sentymenty,

tęsknoty, wspomnienia uchodziły w ich oczach za dziwactwo. Dlatego Gringa pozostaje najchętniej w otoczeniu Polaków, służącej Katarzyny i wujcia – majora Jankowskiego. Ich wspomnienia, kultywowana tradycja tworzą namiastkę klimatu polskiego, ale także nie pozwalają przełamać obcości, powodują zamknięcie się w polskim getcie. Upływ czasu nie złagodzi tego odczucia. Wspomnienia Gringi mimo że nie posiadają formy typowo wspomnieniowej są utkane z autopsji autorki, z życia podzielonego na dwie nierówne, jak się okazuje. połowy – argentyńskiej egzystencji, która toczyła się w cieniu wspomnień „polskiej wierzby”. Kraj osiedlenia to obszar, na którym tożsamość polska jest nieustannie poddawana próbie. Ten tożsamościowy sprawdzian jest także widoczny w relacjach drugoosobowej narratorki i autorki. Doświadczenia wygnania wydają się tu być wspólne. Wojciech Ligęza zwraca uwagę, że:

Między monologującym podmiotem autorskim a bohaterką przeskakują iskry porozumienia, ustala się pewna wiedza wspólna na temat doświadczenia obcości, na jaka napotyka Pola w Argentynie (...) Narratorka mówi do „Gringi” oraz w imieniu Gringi. Prawa introspekcji niekiedy są w tej powieści nadużywane. Jednak taka konstrukcja nie wyklucza porozumienia ze „zwykłymi czytelnikami” [15] .

Obczyzna służy tu raczej samopoznaniu niż wymianie ciosów ze

środowiskiem emigracyjnym (jak w przypadku Gombrowiczowskiej strategii). Natomiast formuła listu-pamiętnika, w jakiej utrzymana jest powieść, umożliwia narratorce-bohaterce nabranie dystansu wobec opisywanych zdarzeń[16]. Starając się wyjaśnić motywy własnego postępowania i zrozumieć wyzwania zmieniającej się rzeczywistości, dokonuje ona zarazem głębokiego przewartościowania światopoglądu i surowego osądu spuścizny romantycznej. I choć nie odrzuca zupełnie dawnych idei, to stara się z nich wybrać tylko to, co rzeczywiście niezbędne w nowej sytuacji egzystencjalnej. Surynowa-Wyczółkowska, podążając drogą wyznaczoną przez Gombrowicza, opisuje w powieści nieustanny konflikt człowieka ze światem. W tym starciu każdy jednostkowy wybór decyduje o losie człowieka, ale rodzi też rozterki związane z polskością. Warto zwrócić uwagę, że ostatnia część sagi niesie ze sobą odmienną poetykę. Dotąd Surynowa-Wyczółkowska sięgała po tradycyjną powieść obyczajową, w *Jesieni Gringi* zaś dominują fragmenty wspomnień i refleksji na temat minionych lat. Składnia jest urywana, oszczędna, oddająca zmęczenie życiem „Ja z Jose Marią przy szoferze. Zatraskiwanie drzwiczek (...) Sprzedaliśmy dom. Koniec. Szlus” (JG, s.133).

Wspomnienia Wyczółkowskiej to z jednej strony szczególnie pamiętnik wyobcowania, z drugiej zaś to ślad „wgryzania się” w nową „cudzoziemską ojczyznę”, w Argentynę i walka o swoją kobiecą podmiotowość, o realizację własnych ambicji.

Kobiece bohaterki prozy Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej to postacie wyobcowane, samotne, z dotkliwym poczuciem Inności. Mimo podejmowanych prób nie potrafią przystosować się do nowych obyczajów i egzotycznej kultury. Ale narracje te przede wszystkim opowiadają o samotności kobiety w kręgu bliskich, w rodzinie. To doświadczenie najbardziej dokucza, bo różnice kulturowe uniemożliwiają bliskość z mężem, z dziećmi. Czas nie leczy tutaj z wyobcowania, ale je pogłębia. Nieziszczane marzenia, zawiedzione plany zawodowe, a nawet zaburzone role społeczne, które pozwalały choć w tym domowym wymiarze się spełnić, wpędzają w depresję i poczucie bezsensu istnienia. W emigracyjnym zestawie „męskich” tematów” proza Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej choć przecież także uwarunkowana historycznymi wydarzeniami, wydobywa mikrohistorie kobiet z niebytu. Pokazuje tym samym mniej heroiczną, choć równie tragiczną postać wygnania.

Część 1:

[14] O samotności bohaterki prozy Surynowej-Wyczółkowskiej pisze Marcelina Janisz. Zob.: *tejże, Zagubiona, samotna, zbuntowana – portret emigrantki w prozie Janiny Surynowej-*

Wyczółkowskiej, (w:) *Filologiczne konteksty współczesności. Wyzwania literatury i języka w XX/XXI wieku*, red. Z. Czapiga, J. Pasterska, M. Kołodziej, V. Ciećko, Rzeszów 2013, s.102-115.

[15] W. Ligęza, *Doświadczenia latynoamerykańskie we współczesnej literaturze polskiej* (w:) *Emigracja. Polonia. Ameryka Łacińska. Procesy emigracji i osadnictwa Polaków w Ameryce Łacińskiej i ich odzwierciedlenie w świadomości społecznej*, red. T. Paleczny, Warszawa 1996, s. 152.

[16] Taki zabieg jest często obecny w prozie emigracji powojennej (na przykład w powieściach Kościałkowskiej, Mostwin, Nowakowskiego, Haupta). Jak dowodzą znawcy problemu, taki kształt utworu świadczy o przyjęciu strategii autobiograficznej. Zob. J. Smulski, *Autobiografia jako postawa i jako strategia artystyczna. Na materiale współczesnej prozy polskiej*, „Pamiętnik Literacki” 1988 z. 4; Cz. Niedzielski, *O teoretycznych tradycjach prozy dokumentarnej (Podróż – powieść – reportaż)*, Toruń 1966.

Część 1:

<https://www.cultureave.com/narracje-wyobcowanej-o-prozie-janiny-surynowej-wyczolkowskiej-czesc-1/>

Pierwodruk: *Gringa – narracje wyobcowanej (Janina surynowa-Wyczółkowska)*, w: Jolanta Pasterska, *Emigrantki, nomadki, wagabundzki. Kobiecte narracje (e)migracyjne*, Rzeszów, 2015, s. 35-50

Narracje wyobcowanej. O prozie Janiny

Surynowej- Wyczółkowskiej – część 1.



Janina Surynowa-Wyczółkowska, fot. Archiwum Emigracji w Toruniu.

Jolanta Pasterska (*Uniwersytet Rzeszowski*)

Lektura prozy Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej nie pozostawia wątpliwości, że głównym problemem nurtującym pisarkę była kwestia wyobcowania i wygnania, zaś obiektem literackiego zainteresowania stała się kobieta[1]. Wniosek ten potwierdza wczesna, przedwojenna twórczość autorki *Gringi*. Zwróćmy uwagę na wiele mówiące i jednoznaczne w swojej wymowie

tytuły powieści: *Ambicje Weroniki* (Warszawa 1935), *Warszawianki* (Warszawa 1935), *Egoizm we dwoje* (Warszawa 1937), *Jego kobiety* (Warszawa 1937), *Kobiety i basta!* (Warszawa 1937), *Płaszcz na dwóch ramionach* (Warszawa 1937), *Panna Florcia* (Warszawa 1939), *Świat zamknięty na klucz* (Warszawa 1939). Wymienione powieści zaliczane przez badaczy do literatury obyczajowej, uzmysławiają, że Surynowa-Wyczółkowska już przed wojną poruszała tematy wówczas przemilczane (tabu): jak seksualność (kobieca), aborcja, prostytutka; umiejętnie wpisując (przemycając?) je w utrwalony w literaturze popularnej schemat kobiety – matki, a więc afirmujący jej tradycyjną rolę społeczną[2]. Po wojnie pisarka wyemigrowała do Argentyny i tam ponownie powróciła do interesujących ją zagadnień. W sadze *Teresa dziecko nieudane* (Londyn 1961), *Gringa* (Londyn 1968) i *Jesień Gringi* (Londyn 1976) los kobiety wpisuje w los wygnańca. Narratorka sagi zanim osiadła w Argentynie doświadczyła traumatycznych przeżyć związanych z utratą bliskich (śmierć matki), przemocy fizycznej i psychicznej (gwałt), poniżenia. Kobiece narracje o wygnaniu i wyobcowaniu (które z tego wygnania po części wynika) różnią się od „mitu” męskiego wygnania. Samo słowo „wygnaniec” nie ma przecież żeńskiego odpowiednika zaświadczać tym samym o męskiej jego realizacji. Inność, obcość wpisana w los wygnańca jest inaczej ujmowana w literaturze tworzonej przez mężczyzn. Bożena Karwowska słusznie zauważa, że męskie narracje zdominował pierwiastek

intelektualny, wygnanie (w twórczości Gombrowicza czy Miłosza) dotyka indywidualistów, geniuszy zafrapowanych własnym rozwojem i twórczością[3]. Kobięcie opowieści traktujące o wyobcowaniu wpisują się w schemat matki, na której spoczywa odpowiedzialność za ciągłość rodziny, dbałość o kultywowanie tradycji narodowej, patriotycznej przez kolejne pokolenia dzieci wychowanych z dala od ojczyzny.

Pisarki emigrantki, tak jak Wyczółkowska, które przeżyły wojnę, okupację i powojenną tułaczkę, nadały literacki kształt tym doświadczeniom. Wiele z powojennych utworów nosi w sobie znamiona autobiografizmu i choć pewnie nie zawsze ta kategoria ma istotne znaczenie dla interpretacji, to w przypadku autorki *Gringi* warto na nią zwrócić uwagę, gdyż pod płaszczykiem fikcji przemycane zostają tu problemy, o których ze względów kulturowych czy społecznych nie wypadało otwarcie mówić. Mam tu na myśli kwestie zasadności udziału w powstaniu warszawskim, odczucia zgwałconej dziewczyny, (*Teresa dziecko nieudane*), zachowania Polaków w obozie dla dipisów, postawy rodaków dorabiających się na wojnie (*Gringa*), samotność w rodzinie (*Jesień Gringi*).

Surynowa-Wyczółkowska dając literackie świadectwo wyobcowania sięga do jego źródeł, które tkwią w traumatycznych przeżyciach wojennych bohaterki jej prozy. To one wpłynęły na późniejszą sytuację, sposób bycia i zachowania

bohaterki sagi. Gwałt, który przeżyła odcisnie piętno na jej dorosłym życiu i relacjach z mężem. Kapryśna i zbuntowana nastolatka w jednym momencie dojrzewa, staje się jeszcze bardziej krytyczna w stosunku do świata, do najbliższych i wyznawanych dotąd idei. Podłożem tego buntu jest przecież także przedwojenne romantyczno-patriotyczne wychowanie.

Z takiej właśnie perspektywy ocenia romantyczną spuściznę Teresa – bohaterka powieści *Teresa dziecko nieudane* Janiny Surynowej Wyczółkowskiej[4]. Jest to postać, która łączy w sobie zarówno cechy romantyczne, jak i „antyromantyczne”, co pozwala jej z optymizmem stanąć do konfrontacji z rzeczywistością. Zachowaniem bohaterki kieruje młodzińczy i niedojrzały bunt skierowany przeciw narzuconym przez tradycję wzorcom postępowania. Jej pierwszym adwersarzem jest matka, której zachowanie wzbudza w Teresie irytację. Młoda bohaterka powieści nieustannie zarzuca jej nadmierną ufność w patriotyczne frazesy, a także narażanie siebie i rodziny na niepotrzebne ryzyko. Z przedstawianej historii wyłania się stopniowo autoportret Teresy:

Teraz dopiero zrozumiałam z jakim rozczarowaniem mama musiała przyglądać się własnej córce, która tylko gotowała kartoflankę, kuła czasowniki angielskie, przygotowywała maturę i ani myślała o patriotycznej robocie! A ja słyszeć nie

chciałam o tym, aby mnie badano i bito na Gestapo, jak ciotkę Fafę, i nie miałam zamiaru „złożyć życia na ołtarzu ojczyzny” (TDN, s, 18).

Nastoletnia bohaterka deklaruje z przekonaniem, że jest racjonalnym, pozbawionym romantycznych mrzonek człowiekiem, „gwiżdżącym na ideały, pacyfizmy i inne <izmy>” (TDN, s.14). Obserwacje codziennych zmagania Polaków z hitlerowskim okupantem stają się dla niej okazją do prowokacyjnych oskarżeń rodaków o „nierozumny”, „oszałały” polski patriotyzm, polski romantyzm, nakazujący apoteozowanie cierpienia. Takiej postawie przeciwstawia zachowania Francuzów i Czechów, którzy zawarli z Niemcami kompromis i rozsądnie nie narażali swojego życia. Zmianę zachowania i rewizję poglądów bohaterki Wyczółkowskiej przynosi dopiero śmierć matki, a także osobiste doświadczenie okrucieństwa (tj. gwałtu dokonanego przez własowców). Szacunek, jaki okazują zmarłej zupełnie nieznani ludzie, zmusza Teresę do zastanowienia i w konsekwencji do zmiany dotychczasowej oceny działalności konspiracyjnej matki. To przeobrażenie „szczęścia”, jak metaforycznie mówi o sobie bohaterka, jest tym boleśniesz, że dokonuje się wraz z demaskowaniem wyidealizowanego obrazu ojca. Jego życie jest niejako odwrotnością życia matki i jednocześnie realizacją postawy, którą początkowo nieświadomie naśladowała młoda Teresa.

„Kochające się w złudzeniach” środowisko matki, jak je określa Teresa, przeciwstawione zostało gromadzie cwaniaków i dorobkiewiczów. Zatem ton kpiny i buntu, w jakim rozpoczęła swój pamiętnik bohaterka Wyczółkowskiej, ustępuje ostatecznie dojrzałości i współtworzy psychologiczne studium dojrzewającej dziewczyny. Postawa narzucana przez matkę nie okazała się ciasnym ograniczeniem, ale dobrze „skrojonym” światopoglądem, w którym dojrzała już bohaterka potrafiła się bez trudu odnaleźć. Już odtąd stale towarzyszyć jej będzie ten niechciany, romantyczny kodeks. A ona sama czy to w obozie dla dipisów, czy w Paryżu, Londynie lub Buenos Aires, wszędzie tam, gdzie przyjdzie jej podejmować ważne decyzje, ze zdumieniem odkryje, że kieruje się właśnie wskazówkami matki i jej wzniosłymi słowami o wolności, romantyzmie i zapale do pracy:

Zdawało mi się – zauważyła Teresa – że ten cały nudny patos od dawna w mojej pamięci zaginął. Jednak teraz stojąc pod oknem odnajdywałam go. [...] Miałam wrażenie, że mama zwyciężyła mnie w chwili swej życiowej klęski. I to było dziwne. Paradoksalne. Niezrozumiałe (TDN, s.82).

Ta niejasność sytuacji budzi w bohaterce bunt, ale i dumę. Bowiem antynomiczność odczuć pozostała trwałym składnikiem jej psychiki. Pamięć o matce i wpajaniem przez nią patriotycznym wychowaniu towarzyszy jej również w obserwacji emigracyjnego

życia. Teresa przy każdej okazji więc poddaje ocenie przejęte idee. Na przykład, gdy poirytowana obserwuje rodaków w tymczasowym obozie dla dipisów.

Psiakrew... Na czym to się skończyło to polskie bohaterstwo? - pyta rozgniewana - Na wyjedzeniu konserw z tysięcy puszek! Na zalewaniu patriotycznego robaka bimbrem pędzonym po kryjomu! Na rozproszeniu po świecie! Na miłości do młodych dziewczyn, które trzeba było porzucić. Na tęsknocie za spokojnym życiem i sprawiedliwością (TDN, s.184).

Jednak przy pierwszej nadarzającej się okazji, wbrew zakazowi ojca, bierze udział w patriotycznym spotkaniu z wybitnymi polskimi dowódcami: Władysławem Andersem, Tadeuszem Borem-Komorowskim i Stanisławem Kopańskim. Spotkanie wywołuje takie same uczucia, jak te kierowane do matki: podziw i złość. Bohaterka jest dumna z odwagi dowódców, podziwia ich waleczność, ceni przymioty wodzowskie, ale jednocześnie irytuje ją brak intuicji politycznej generałów oraz przejawiany przez nich prymat entuzjazmu nad rozsądkiem. Poświęcenie i śmierć tysięcy żołnierzy było - według bohaterki Wyczółkowskiej - niepotrzebne, bo Europa szybko zapomniała o bohaterstwie Polaków. Ambiwalencję uczuć młodej dziewczyny podkreśla także scena spotkania z przyjaciółmi, gdy Teresa nie znajduje

zrozumienia dla zachowania niedawnych bohaterów Powstania Warszawskiego, którzy na uchodźstwie zerwali z patriotycznym etosem i przemienili się łatwo w emigrację zarobkową.

Romantyczny paradygmat warunkuje także życie uczuciowe bohaterki. Nawet jej miłość okazuje się niespełniona i tragiczna, gdyż na przeszkodzie staje najpierw rozłaka i niecne kłamstwa ojca, a potem pełen rezygnacji powrót ukochanego do zajętego przez komunistów kraju.

W czasie podróży po świecie Teresa dojrzewa i nabiera dystansu do wielu osobistych spraw. Wybierając pomiędzy pragmatyzmem ojca i romantyzmem matki, stara się znaleźć jakieś trzecie wyjście, które umożliwi jej „bycie człowiekiem a nie zwierzakiem”(TDN,s.302). Mimo prób zerwania z romantycznym dziedzictwem zdaje się być od niego uzależniona. Ono zaciąży nad dalszym jej życiem.

Jesień Gringi Surynowej-Wyczółkowskiej to najbardziej nasycona autobiograficznie część cyklu poświęconego emigracyjnym losom bohaterki, *alter ego* samej autorki. Jak słusznie zauważa Katarzyna Lachowicz:

Ponieważ losy autorki i tytułowej Gringi są w wielu miejscach zbieżne, można domniemywać, że kryją się w

powieści przeżycia, sytuacje, typy ludzkie, detale, które poznała Janina Surynowa-Wyczółkowska w bezpośrednim doświadczeniu kobiety, intelektualistki, emigrantki[5].

Nie jest to zatem wspomnienie w tradycyjnym rozumieniu, to raczej, jak pisze Wacław Lewandowski, „gatunek pograniczny”, w którym materiał wspomnieniowy miesza się z fikcją literacką[6]. O takim poszukiwaniu nowych sposobów opowiadania przekonuje również Wojciech Ligęza. Badacz zauważa, że:

Przenikają się tutaj różne perspektywy narracyjne, a podmiot ulega rozszczepieniu, kiedy „ja” autorskie prowadzi dialog z bohaterką, posługuje się dwoma perspektywami po to, by negocjować z postacią powieściową właściwą wersję wydarzeń[7].

Kompozycja ostatniego cyklu sagi przypomina beletryzowany pamiętnik, w którym pojawiają się krótkie sceny połączone osobą narratorki. To Teresa jest przewodniczką nie tyle po nowym kraju osiedlenia, raczej opowiada o historii człowieka wyobcowanego. Odnajdujemy tu zarówno refleksje dotyczące konkretnego, jednostkowego emigracyjnego doświadczenia, ale i doświadczenia emigracji w ogóle [8]. Przyjmując takie założenia

można *Jesień Gringi* rozpatrywać jako zbiór refleksji odnoszących się do miejsc, ludzi i ich wewnętrznych odczuć związanych z życiem poza granicami ojczyzny. Na obraz argentyńskiej emigracji składają się opisy krajobrazu, środowiska emigrantów i społeczeństwa nowego kraju osiedlenia. Przyroda odgrywa tu istotną funkcję. Na jej tle bowiem dochodzi do zderzenia dwóch rodzajów świadomości: Polaka-emigranta i Argentyńczyka-cudzoziemca. Temu rozbiciu tożsamości towarzyszą skrajne uczucia tęsknoty za ojczyzną, za „maleńkim krzaczkiem niezapominajek” i budzącej niepokój fascynacji argentyńskim pejzażem określanym jako „rozkwitłe szaleństwo egzotycznej jacarandy”[9].

Argentyna Surynowej-Wyczółkowskiej to kraj właśnie takiej rozbuchanej, nieokiełznanej przyrody i ukrytych w niej żywiołów, obcych i przerażających przybysza z Europy Środkowej[10]. Jednym z takich żywiołów jest trzęsienie ziemi, którego gwałtowność i skala zniszczeń wprawia w zaskoczenie. Natychmiast jednak krajobraz spustoszenia i ruin, jaki po sobie pozostawiło, implikuje obraz zburzonej Warszawy. Ojczyzna i obczyzna nieustannie będą się już przeplatać. W przestrzeń miasteczka (najpewniej chodzi o San Juan), w którym żyje tytułowa Gringa wpisują się Andy, nazywane przez bohaterkę Kordylierami (termin *Kordyliery* obejmuje również południowoamerykańskie Andy). Olbrzymi masyw górski to jedno z pierwszych wrażeń, jakie odnotowuje Gringa po przybyciu do

Argentyny:

Widziałam góry u wylotu ulicy. Białe w szafirowe niebo.
Codzienne inne. Różowe, porysowane czarnymi cieniami. To
znow granatowe. Albo rozpylone we mgłach, ledwo widoczne
(JG, s. 47).

Jednak zachwyt argentyńskim pejzażem dochodzi do głosu sporadycznie. Gdy przebywa do Argentyny ktoś z Polski (np. ciotka Fefa), Teresa chce pokazać najpiękniejsze zakątki nowego kraju, pragnie w przyszłości wzbudzić zachwyt Argentyńską. Ale nie o rodaka tu chodzi. Jest to raczej rodzaj autoterapii, Gringa, stara przekonać samą siebie, że warto żyć w Argentynie. To poczucie wewnętrznego rozdarcia będzie zawsze towarzyszyło bohaterce Surynowej. Widok Kordyliarów, wybujałej roślinności, bezkresnych równin fascynuje, ale i wielokrotnie poczucie obcości. Dlatego pojawiają się próby zaadaptowania nowej rzeczywistości poprzez przetransponowanie ojczystych wzorców w przestrzeń własnego domostwa i rodziny. Bohaterka Surynowej-Wyczółkowskiej nieustannie poszukuje w obcym pejzażu znanych sobie elementów ojczystej przyrody, w pożywkowej trawie chce widzieć macierzankę lub złoty rozchodnik, w cedrzyńcu odnajduje jałowiec. Odnosi się wrażenie, że mimo egzotyki i wybujałej roślinności nowa ojczyzna jest jedynie namiastką Polski.

Charakterystyczne jest tu porównanie siebie do polskiej wierzby, „która nie chciała się przyjąć i zaklimatyzować w egzotycznej, wulkanicznej ziemi” (JG, s. 7). Antropomorfizacja wierzby-polskiego drzewa – symbolu podkreśla obcość i tęsknotę za krajem.

Surynowa-Wyczółkowska stara się oswoić argentyńską rzeczywistość przez włączanie do obcego świata polskich akcentów. Takie znaczenie ma wybudowany przez bohaterkę jej wspomnień argentyński dom w stylu szlacheckich dworców z „ganeczkiem na słupach, facjatką i okiennicami” (JG, s.224) albo ogród, w którym wbrew klimatowi próbuje pielęgnować polskie kwiaty. Wszystko to jednak okazuje się czymś zamiast, jest imitacją „kraju lat dzieciennych”. Małżeństwo z Argentyńczykiem[11] zamiast pomóc w asymilacji, pogłębia wyobcowanie, bo dom Teresy i Jose Maria to zderzenie dwóch zupełnie różnych kultur, których punktów stykowych nie może odnaleźć Gringa.

W nowej ojczyźnie Teresa nie potrafi się zaaklimatyzować. Mimo wysiłków męża Argentyńczyka, który buduje jej dom do złudzenia przypominający polskie dworki szlacheckie, bohaterka czuje się obco. Ma wrażenie, że ciągle jest Gringą (jak w tytule drugiej powieści Surynowej), a jej życie na emigracji jest zaledwie imitacją prawdziwego.

José buduje w centrum miasta dom i ma złudzenia, że to jest dom polski. A więc dom ma bardzo spadzisty i czerwony dach. Ganeczek na słupach. Facjatkę [...] Przy naszym polskim domu tuje imitują świerki. Patio imituje werandę [...](G, s. 224).

Nieprzypadkowo w cytowanym fragmencie pojawia się słowo „imitacja”. Obczyzna jest tu postrzegana bowiem jako falsyfikat. Budowany na uchodźstwie dom jest dla bohaterki rodzajem kłamstwa, gdyż jest przekonana, że nie będzie on w stanie zastąpić tego prawdziwego, który pozostał daleko za „żelazną kurtyną”. Wywołuje więc wyrzuty sumienia i samooskarżenie o zdradę ojczyzny. Takie odczucia rodzą się u narratorki w momentach zachwyty dla bujności argentyńskiej przyrody. W tych spontanicznych relacjach bohaterka sagi zauważa, że w jej język ojczysty wkradają się obcobrzmiące hiszpańskie słowa oddające świeżość i zapach kordylierskiego powietrza. Tłumaczy ten fakt następująco:

Bo tak właśnie jest mi pomyśleć poręczniej i łatwiej. „Wynaradawiasz się, Tereso – myślę idąc do autokaru”(G, s. 65).

Kwestie języka ojczystego i jego zacierania się (obumierania) zaświadcza o wynarodowieniu. Dlatego wpisując się w schemat matki strażniczki polskości, Teresa stara się kultywować język polski w rodzinie[12]. Ale sama pochodząca z mieszanej (polsko-czeskiej) rodziny wie, że utrzymanie językowej czystości jest po prostu niemożliwe. Zwiedzając Buenos Aires konkluduje, że to przyszła stolica jej argentyńskich dzieci. Ma zatem świadomość nieuchronności procesów asymilacyjnych. Jednak pogodzenie się z tym faktem nie przychodzi jej łatwo. Czuje się Inną, wyobcowaną i rozdartą wewnątrz[13].

Z pewnością taka postawa nie sprzyja adaptacji w nowym miejscu. Nie ułatwia jej także córka, z którą Teresa nie może nawiązać kontaktu. Barabrita odczuwa wyraźnie obcość matki, spowodowaną nie tyle tęsknotą za ojczyzną, ile jej zupełną odmiennością kulturową. W reakcji na określenie „wstrętna Gringa”, wypowiedziane w złości przez córkę, Teresa odpowiada:

I ty jesteś Gringa – mówię twardo – bo jesteś moją córką. Złe spojrzenie spod rozgrzanej grzywki i krzyk: – Wstydzę się, że jestem córką Gringi. Córką de una Polaca (córką Polki) (G., s.215).

Scena ta przypomina Teresie kłótnie ze swoją matką w Polsce, którą – podobnie jak teraz jej córka – oskarżała o zbyt

anachroniczny patriotyzm. Trzeba jednak zauważyć, że bohaterka *Gringi* nie rozpatruje konfliktu z córką w kategoriach buntu pokoleniowego. Nadaje mu – jak i całej swej egzystencji – wymiar narodowościowy. Oskarża się bowiem, że niedostatecznie zabiegała o polskość córki i gdy ta dorosła, nie jest w stanie jej zrozumieć. Niemniej jednak to właśnie Barabrita wytknie matce zamknięcie w „skorupie polskości” i brak rozeznania w bieżących sprawach ojczyzny. Przedstawiając Teresie narzeczonego Polaka – emigranta 1968 roku – zapyta wprost:

A więc? Jeżeli w Polsce nie ma antysemityzmu, to dlaczego ty, Ricardo, obawiasz się, że mamita, pomimo wszelkiej *amistad* (przyjaźni) jaką ma dla ciebie, może być niezadowolona z naszego matrymonio (małżeństwa)? (JG, s.65).

Wprowadzenie do powieści przedstawiciela nowej fali uchodźców uzmysławia bohaterce konsekwencje jej długotrwałej samoizolacji, gdyż zrozumienia nie znajduje już nie tylko u swojego dziecka, ale także u przybysza z Polski. Prowadzi to do przekonania, że powrót do kraju jest już niemożliwy. Tej ojczyzny, którą pozostawiła kiedyś jako nastolatka, już po prostu nie ma.

Część 2 ukaże się w poniedziałek, 15 lipca 2019 r.

[1] Artykuł jest fragmentem zamieszczonym w monografii *Emigrantki, nomadki, wagabundki. Kobiecte narracje (e)migracyjne*, Rzeszów 2015.

[2] Zob. *Dwudziestolecie mniej znane. O kobietach piszących w latach 1918–1939. Z antologią*, red.

2011. Graczyk, M. Graban-Pomirska, K. Cierzan, P. Biczowska, Kraków 2011.

[3] B. Karwowska, *Druga płeć na wygnaniu. Doświadczenie migracyjne w opowieści powojennych pisarek polskich*, Kraków 2013, s.6.

[4] J. Surynowa-Wyczółkowska, *Teresa dziecko nieudane*, Londyn 1961. Cytaty pochodzące z tego wydania oznaczam skrótem TDN. Z zawartych w *Ferdydurke* (oraz w późniejszych dziełach Gombrowicza) uniwersalnych idei czerpią również pisarze emigracyjni. Dotyczy to między innymi zagadnienia konstrukcji postaci, których podobieństwo do Gombrowiczowskiego wzorca dostrzec można choćby w powieściach Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej, Olgi Scherer, Jerzego Pietrkiewicza, Mariana

Pankowskiego i Mariana Czuchnowskiego.

[5] K. Lachowicz, *„Jesteś na obcej ziemi, i sama”*. Doświadczenie emigracji w powieściowym płaszczu. *„Jesień Gringi”* Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej, *„Archiwum Emigracji. Studia-Szkice -Dokumenty”*, 2009, z. (2) 11, s. 144.

[6] W. Lewandowski, *Czy to wstyd wspominać? Kilka wstępnych poruszeń tematu*, *„Archiwum Emigracji. Studia -Szkice -Dokumenty”*, Toruń 2009, z.2, s. 6.

[7] W. Ligeża, *„Wizje Ameryki Łacińskiej w prozie Bobkowskiego, Gombrowicza i Straszewicza*, (w:) *Proza polska na obczyźnie. Problemy - Dyskursy - Uzupełnienia*, red. Z. Andres, J. Pasterski, A. Wal. , t. 1, Rzeszów 2007, s. 53.

[8] K. Lachowicz, *„Jesteś na obcej ziemi sama”*., s. 145.

[9] J. Surynowa-Wyczółkowska, *Jesień Gringi*, Londyn 1976, s. 7. Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania powieści . Oznaczam je skrótem JG.

[10] O Argentynie Surynowej-Wyczółkowskiej pisałam w szkicu *Obca cudzoziemska ojczyzna”*. *Obrazy Argentyny w prozie wspomnieniowej* Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej, Józefy Radzyńskiej i Zofii Chądzyńskiej . Zob. *Literatura Polska obu*

Ameryk. Studia i szkice. Seria pierwsza, red. B. Nowacka, B. Rogowska- Szalaśta, Katowice -Toronto 2014., s.571-580.

[11] W rzeczywistości pisarka była zamężna dwukrotnie: z Józefem Cybulskim, (zginął w wojnie polsko-bolszewickiej) i Józefem Cybulskim, pilotem. W Argentynie pracował jako przedstawiciel towarzystwa The Anglo-Argentine Society, wykładał też w Instytucie Kultury Angielskiej w San Juan. Zob. E. Żóltowska, *Powrót do pióra*, „Merkuriusz Polski” 1957 nr 7/8.

[12] Problem zachowania języka ojczystego w rodzinie emigranckiej nie jest nowy. Ciekawie opisuje go choćby Zofia Romanowiczowa w *Baśce i Barbarze* (Paryż 1956) czy Ewa Hofman w *Zagubione w przekładzie przekł.* M. Ronikier (Londyn 1989) i Danuta Mostwin w *Ameryko! Ameryko!* Warszawa 1981.

[13] Poprzez wewnętrzne rozdarcie i niezgodę na istniejący kształt rzeczywistości ona sama bliska jest także postaci Victora Zagona z powieści Jerzego Peterkiwicza, *That Angel Burning at My Left Side*, Londyn 1963 wyd polskie: J. Pietrkiewicz, *Anioł ognisty, mój anioł lewy*, tłum. M.Glińska, Warszawa-Lublin 1993 .

Portugalia w Indiach (Goa), 2007-2008.



Dwór indo-portugalski w Goa.

Zygmunt Wojski (*Wrocław*)

W różowym świetle wczesnego poranka, we mgle, rysują się kontury ogromnych, rozłożystych drzew, a potem, po drodze do **Margão** (około 25 km na południe) coraz więcej palm kokosowych, pastwiska, gdzie wielkie garbate szare krowy rasy zebu, bawoły i pełno małych, białych czapli, zatopione w wodzie pola ryżowe, bujna, tropikalna roślinność, którą kocham całym sercem, zwłaszcza te wspaniałe pióropusze palm kokosowych!!! Pożerałem to wszystko chciwym wzrokiem, aż dojechaliśmy do hotelu „Nanutel” przy Padre Miranda Road w **Margão**. Nazw portugalskich wszędzie mnóstwo: Bar Afonso, Avenida da Conceição, Largo da República... Zanim dojechaliśmy do hotelu, po drodze ogromny, biały kościół Św. Ducha (XVII-XVIII w.) ze stojącym przed nim na wielkim placu typowym portugalskim krzyżem o szerokim poprzecznym ramieniu i skróconym tuż nad nim pionowym. Krzyże te wykonane tu z różowego kamienia stoją na ozdobnych wysokich postumentach. Cały stan **Goa** wypełniony jest nie tylko barokowymi kościołami, ale i pałacami, dworami, pięknymi willami w tzw. stylu indo-portugalskim. Te wspaniałe niegdyś budowle teraz są nieco zaniedbane, niestety! Upłynęło już 47 lat od kiedy Nehru zajął tę dawną kolonię portugalską, a ich właściciele wynieśli się z rodzinami do Portugalii.



Dom indo-portugalski w Margão. Goa.



Domy w Margão.

Zaraz na początku spacer do kościoła Św. Ducha. Kościół od frontu zamknięty, ale przypadkowo spotkany starszy Hindus o wyglądzie katolickiego księdza (zdaje się, miał koloratkę) znakomitą portugalszczyzną informuje mnie, że wejście jest w głębi na lewo. Wnętrze kościoła niezwykle ciekawe: piękne barokowe ołtarze z najciekawszym przedstawiającym Św. Florianą. W postaciach aniołów jakaś lokalna naiwność, tak samo malownicza, jak w kościołach latynoamerykańskich. No i wszechobecna naokoło tropikalna przyroda: ogniście kwitnące tropikalne akacje, gigantyczne fikusy o szerokich pniach i warkoczach cienkich pędów spływających z gałęzi... Krótko mówiąc to, co lwy lubią najbardziej! Wracam już inną drogą,

wąskimi uliczkami pnącymi się w górę, wśród wyżej wspomnianych, nieco opuszczonych rezydencji indo-portugalskich, arcyciekawych!!! Drzewa, krzewy obsypane kwiatami, absolutny raj.

Znakomitym zbiegiem okoliczności po powrocie do **Goa** z muzułmańskiej części Indii na północy kraju zmieniono nam hotel, bo w tym, gdzie mieliśmy zamieszkać, nie ma już miejsc. Trafiamy więc do małego, przytulnego hoteliku „Coconut Grove” (Kokosowy Zagajnik), położonego w najcudowniejszym miejscu, jakie tylko można sobie wymarzyć. Otoczony jest, zgodnie z nazwą, lasem palm kokosowych, kwitnącymi hibiskusami i oleandrami, w sąsiedztwie pól ryżowych i łąk, na których pasą się czarne bawoły wodne, mniejsze od krów, z rogami wygiętymi mocno do tyłu. Do plaży około 150 metrów przez wydmy porośnięte piniami. Ale sama plaża taka sobie: prosta jak strzelił linia brzegowa, woda w Morzu Arabskim szmaragdowa, ale mętna i niepokojąco duże fale. Na szczęście, nie są one groźne. Łatwo je pokonać, a za nimi pływa się już znakomicie w cieplej, wspanialej wodzie. Po prawej stronie, na wysokiej skarpie dość duże miasto **Vasco da Gama**, leżące tuż za lotniskiem w **Dabolim**. Po lewej, jakieś 6 km od naszej plaży, kąpielisko Colva. Widok z balkonu na pierwszym piętrze hotelu, czarujący! Trawniki i szpalery kwitnących krzewów, dwa hamaki rozwieszone wśród palm, a dalej, urzekająco piękne palmy kokosowe o pniach fantazyjnie powyginanych, ten

najwspanialszy symbol tropiku!



Kościół św. Ducha w Margão.

4 stycznia. Rano robię rekonesans okolicy zmierzając ku miasteczku **Betalbatim** (około 2 km od hotelu). Tym razem nie dochodzę tam jednak, lecz próbuję obejść znajdujące się przy drodze malownicze rozlewisko Alagoa (po portugalsku właśnie „rozlewisko”) z hotelem o tej samej nazwie przy jego skraju. W wodzie rosną łąny białych i liliowych lilii wodnych o szerokich pływających liściach. Na środku wysepka z gromadą ukrytego

tam ptactwa: błękitne duże ptaki (kurki wodne?), białe czaple i małe biało-szare *Black-winged Stilt*, czyli „czarnoskrzydłe szcudła” (*Himantopus himantopus*), stojące w wodzie na jednej nodze. Obejście rozlewiska okazuje się niemożliwe: moczary i brak ścieżek, kolczaste krzewy, ukryte wśród drzew domostwa... Jakaś kobieta w ostatniej chwili chwyta psa rzucającego się do ataku na mnie. Trzyma go, wołając do mnie: „Go, go!” Z innej chaty wybiega w moim kierunku młody, półnagi mężczyzna i pokazuje mi ścieżkę, którą najlepiej dojść do szosy. Gdy później pokazałem ją naszemu przewodnikowi, ten nie mógł się nadziwić, jak ja mogłem w sandałach ryzykować przejście tak zarośniętą ścieżką, przecież mogłem nadepnąć na jadowitego węża, których podobno mnóstwo w tej okolicy. Przyznam się, że nie widziałem. Podziwiałem natomiast tę gęstwą wspaniałych drzew dookoła rozlewiska, chmary ptactwa i morze kwiatów pokrywających ściśle powierzchnię jeziora. Po raz kolejny czułem, że jestem po prostu w raju!!!

W drodze powrotnej jeszcze jeden miły akcent. Oto przy hotelu „Alagoa” spotykam młodego mężczyznę (około 40 lat), który znakomicie mówi po portugalsku. Zapraszałem go do naszego hotelu, ale, niestety, nie pojawił się. Sprzed hotelu fotografuję kobiety pracujące na polu ryżowym i ogromne liście „inhame” (*Colocasia esculenta*), rośliny tropikalnej o wielkiej jadalnej bulwie.



Goa. Betalbatim. Autor przed hotelem.



Goa. Portugalski kościół w Betalbatim.

8 stycznia, jedziemy do **Starego Goa** (Velha Goa), by zwiedzić tamtejsze wspaniałe świątynie. Jak się wyraził nasz przewodnik, przestępowałem z nogi na nogę nie mogąc doczekać się tej chwili. To fakt i wreszcie nadszedł ten słoneczny poranek, kiedy wyjechaliśmy we czwórkę: pewna pani i jej córka z podwarszawskich Babic, przewodnik Karol Matkowski i ja. Ruszamy w kierunku północnym, mijając liczne małe miasteczka po drodze i po pokonaniu około 35 km wjeżdżamy na ogromny, zadrzewiony plac, na którym po lewej imponujący, ciemnoczerwony jezuicki kościół i klasztor Bom Jesus, czyli Dobrego

Jezusa, a po przeciwnej stronie dwa wielkie białe kościoły. Jeden z nich pod wezwaniem Św. Franciszka, a drugi to Katedra. Tylko te trzy gigantycznych rozmiarów świątynie zachowały się z całego centrum **Starego Goa**. O ile na zewnątrz wszystkie trzy są stosunkowo skromne, surowe (z wyjątkiem kilku interesujących, ozdobnych portali, w tym manueliński z 1602 roku w kościele Św. Franciszka), o tyle wnętrza są bogate, zwłaszcza w kościele Dobrego Jezusa, gdzie szczególnego splendoru przydaje całemu wnętrzu wspaniale zdobiony marmurowy nagrobek Św. Franciszka Ksawerego, który zmarł w 1552 roku. Autorem jest rzeźbiarz z Florencji Giovanni Battista Foggini. Szczątki świętego spoczywają w dużej srebrnej arce, którą zaprojektował włoski jezuita Marcello Mastrilli, a wykonali miejscowi złotnicy z **Goa**. Przed kościołem charakterystyczny portugalski krzyż i dwa olbrzymie, rozłożyste „samany” (*Enterolabium saman*).

Po drugiej stronie placu oglądamy najpierw kościół Św. Franciszka (1661 r.), przed którym kilka cudownych tulipanowców afrykańskich (*Spathodea campanulata*), zwanych w Wenezueli *bucare*, z wielkimi czerwonymi kwiatami. Wnętrze kościoła wypełniają dość naiwne polichromowane rzeźby w bocznych ołtarzach, ale ołtarz główny jest cały ze złota, ze złotymi posągami świętych harmonijnie wkomponowanych w wielki prostokąt ograniczony potężnymi kolumnami doryckimi. Nad ołtarzem głównym wspaniała sufit kasetonowy. W kaplicach

bocznych i wszędzie doskonale zachowane portugalskie nazwy. W klasztorze jest muzeum, gdzie pan Karol, pamiętając o mojej gorącej prośbie zrobienia mi zdjęcia przy pomniku Camõesa, dowiaduje się, że pomnik poety został przeniesiony sprzed Katedry właśnie do muzeum (sic!). Pyta o kogoś znającego portugalski i okazuje się, że jeden z pracowników muzeum zna ten język, pojawia się i na moją wielką prośbę pozwala nam wejść do środka, ale mamy zrobić zdjęcie szybko, aby nikt się nie spostrzegł. Aliści do pana Karola jakoś to nie dotarło, bardzo długo przymierzał się z aparatem i w efekcie na zdjęciu wyszedłem z miną zniecierpliwioną tą ceremonią i z otwartymi ustami, z których właśnie padały słowa: „Dlaczego tak długo? Proszę szybciej!”

Korzystając z tego, że już jesteśmy w muzeum, postanawiamy je zwiedzić. Na dole stoi ten nieszczęsny Camões pośród płaskorzeźb i fragmentów rzeźb hinduskich, a na górze wielka galeria portretów portugalskich gubernatorów **Goa**. Dziesiątki okazałych rozmiarów tych portretów, niestety, artystycznie niezbyt udanych.



Stare Goa. Portugalski kościół.



Stare Goa. Dwa portugalskie kościoły tuż obok siebie.

Katedra (1619 r.) w **Starym Goa** jest największą świątynią katolicką w Azji. W jej wnętrzu bogato złożony ołtarz główny. Robię wspaniałe zdjęcie bocznego ołtarza Św. Sebastiana. Sądząc po dużych owocach złożonych z łusek, egzotyczne miejscowe drzewo, do którego przywiązany jest święty, a dwóch klęczących z boku łuczników właśnie napina swe łuki wymierzone w Św. Sebastiana: wzruszająca naiwność artysty! W **Starym Goa**, na Świętym Wzgórzu (Monte Santo), oglądamy jeszcze ruiny bardzo wysokiej dzwonnicy kościoła Św. Augustyna i klasztor Św. Moniki, z gigantycznymi przyporami po bokach.

Około 10 km na zachód leży stolica stanu **Goa**, miasto **Panaji** (po portugalsku Pangim). Droga prowadzi wzdłuż szerokiej rzeki

Mandovi. Zatrzymujemy się w samym centrum, przed stojącym na wzgórzu uroczym kościołem Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia (*Nossa Senhora da Imaculada Conceição*) z 1619 roku. Wiodą doń zakosami monumentalne schody (1870 r.) złożone z dwóch symetrycznych skrzydeł, z ażurowymi balustradami, jak do kościoła Dobrego Jezusa w Bradze, czy świątyni Matki Boskiej Uzdrawicielki w Lamego. Całość jest utrzymana w kolorze białym z niebieskimi elementami i stanowi autentyczny klejnot barokowej architektury portugalskiej w **Indiach**. Na sąsiednich ulicach stare kamienice pomalowane na niebiesko i różowo, z białymi obwódkami wokół okien, do złudzenia przypominają zabudowę **Lizbony**. Jest nawet takie historyczne powiedzonko: „Quem viu Goa, escusa de ver Lisboa!” (Kto widział Goa, nie musi oglądać Lizbony). W jednej z takich niebieskich kamienic, u stóp opisanego wyżej kościoła, jest księgarnia, w której kupuję przewodnik po stanie **Goa** *100 Goan experiences* (autor, jak wielu goańskich Hindusów, nosi imię i nazwisko portugalskie: Pantaleão Fernandes) i przewodnik po świecie roślin i zwierząt Indii *Wildlife of India*. Z tego pierwszego wynika, że stan **Goa** jest ogromnie ciekawy, gdy chodzi o zabytki sakralne nie tylko portugalskie, ale i hinduistyczne. Masa wspaniałych świątyń, a także pałace w stylu indo-portugalskim, monumentalne fontanny *chafarizes*, cudowne rezerваты przyrody, mnóstwo wodospadów!!!

Gdy w drodze powrotnej przejeżdżamy przez miasteczko

Betalbatim, mignęła mi po lewej stronie biała sylwetka sporego kościoła. Nazajutrz postanowiłem tam dojść.



Wybrzeże Goa.

9 stycznia. Dość późnym popołudniem ruszam w stronę owego kościoła, ale po drodze fotografuję pasące się na bujnej łące czarne bawoły i brodzące za nimi białe czaple. W tle rząd cudownych palm kokosowych, dalej, cały ich gęsty las. Przechodnie, zwłaszcza kobiety, kłaniają mi się z uśmiechem. Po przejściu około 2 km jestem przed stojącym na małym wzniesieniu kościołem Matki Boskiej Uzdrawicielki (*Nossa Senhora dos Remédios*). Wdzięczna, jasno-kremowa fasada z dwiema kwadratowymi wieżami i wyższym od nich trójkątnym

zwieńczeniem frontonu po środku. Nad środkowym oknem dwa różowe anioły, a nad bocznymi, postaci dwóch świętych. Fotografuję też ozdobny krzyż na postumencie z niszami, na tle ciemno-zielonego pióropusza palmy. Jakże charakterystyczne i symboliczne to zdjęcie! Wewnątrz kościoła, przed ołtarzem głównym grupka dzieci pod okiem opiekunki w różowym sari ćwiczy w języku **konkani** jakąś pieśń religijną. Powtarzają kilkakrotnie ten sam fragment i za każdym razem jeden z chłopców wykrzykuje donośnie jedną frazę. Gdy ich fotografuję, rozlegają się śmiechy, wybucha wielka radość...



Betalbatim. Kafelki portugalskie z nazwą ulicy.

W drodze powrotnej fotografuję portugalskie nazwy ulic wymalowane na kafelkach przy skrzyżowaniach: *Msgr. Inácio Rebelo Road* (Ulica Jego Eminencji Ignacego Rebelo). Napis obramowany wdzięcznymi esami-floresami. Dalej, długa aleja wiodąca do wspaniałej, starej rezydencji. Tu cudowny różowo-żółty kwiat frangipani (*Plumeria rubra*). Nie mogę sobie odmówić sfotografowania. Przy głównej ulicy po lewej kolejne kafelki w tonacji niebieskiej, z napisem: *Solar dos Rebelos de Betalbatim* (Rezydencja Rodziny Rebelo z Betalbatim). Podchodzę bliżej. Wielka parterowa willa w ogrodzie, kryta ciemnoczerwoną dachówką, z gankiem i obszerną galerią obiegającą cały budynek. Po lewej, dobudowana kaplica z białym, ozdobnym frontonem z krzyżem, a po bokach frontonu dwie eleganckie kolumny zwieńczone stożkowatymi wazami. Nad oddzielnym wejściem półokrągły łuk osłonięty gankiem. Przed głównym wejściem do rezydencji biała ozdobna brama z figurką salutującego żołnierza w tropikalnym kasku i szortach. Gdy tak obchodzę rezydencję, słyszę na ganku swojskie dźwięki portugalskiej mowy. Nasłuchuję. Tymczasem wybiegają dwa szczekające psy, a za nimi służący. Pytam, czy mówią po portugalsku, a on z uśmiechem odpowiada twierdząco i zaprasza na ganek, gdzie siedzi dwóch starszych panów i dwie nieco młodsze panie, cała czwórka o bardzo śniadych, typowo hinduskich twarzach. Przynoszą dla mnie krzesło i ucinam sobie z nimi krótką pogawędkę wyrażając mój podziw dla posługiwania się przez nich wciąż tak poprawną portugalszczyzną, mimo że

upłynęło już 47 lat odkąd **Goa** nie jest portugalskie. Oni patrzą na mnie zdziwieni i odpowiadają, że całe życie mówią tym językiem i jest to dla nich najzupełniej naturalne! Potem pytają, gdzie mieszkam, co robię, czy przyjechałem do **Goa** z rodziną i tak dalej. Podejrzewam, że słowo „Polónia” nic im nie mówiło i że raczej wzięli je za nazwę jakiegoś miasteczka w Portugalii!



Dwór Rodziny Souza.

Po przeciwnej stronie ulicy jeszcze jedno, tym razem niebiesko-żółto-różowe kafelki z napisem: *Casa de Souza* (Dom Rodziny

Souza). Naprzeciwko rozlewiska Alagoa, po drugiej stronie ulicy, w wydzielonej części starej rezydencji indo-portugalskiej, msza w miejscowym języku **konkani**. Niewielkie wnętrze wypełnione głównie śpiewającą młodzieżą. Mimo że podchodzę cicho i bardzo dyskretnie, natychmiast przynoszą mi krzesło i zapraszają do uczestnictwa w mszy. Z uwagi na bliskie sąsiedztwo jeziora krąży nade mną sporo komarów, które wkrótce zabierają się do dzieła, co zmusza mnie do odwrotu.

To był niezapomniany wieczór i tylko żałuję, że zmarnowałem kilka dni na plaży i w hotelu, miał wędrować po miasteczku i okolicach, gdzie, jak wynika z przysłanego mi przez moją przyjaciółkę Elsę z Lizbony pięknego albumu pod tytułem: *Palácios de Goa. Modelos e Tipologias de Arquitectura Civil Indo-Portuguesa* (Pałace w Goa. Modele i typologie cywilnej architektury indo-portugalskiej) autorstwa Heldera Carity ze zdjęciami Nicolasa Sapiehy!!!! (Lizbona 1996), kilka wspaniałych dworów i rezydencji: *Casa dos Teotónio Alemão* (Dom Rodziny Teotónio Alemão z XVI i XVII wieku, z piękną prywatną kaplicą), *Casa Walfrido Antão* (Dom Walfrida Antão) z późnobarokowymi obramowaniami smukłych okien i kutymi w żelazie balkonami, arcyciekawa rezydencja!!!

Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że wielu rzeczy nie udało mi się zobaczyć, nawet w tych miejscach, gdzie przebywałem (za kościołem Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia w **Pangim** jest

stara, portugalska dzielnica o nazwie Fontainhas, co znaczy „Źródełka”, z brukowanymi uliczkami, uroczymi kafejkami, ale o tym dowiedziałem się dopiero teraz, z przewodnika, bo nasz pan Karol znowu nie miał o tym bladego nawet pojęcia!!!). Tym niemniej wycieczka do Indii wybiła się teraz na pierwsze miejsce spośród wszystkich moich ostatnich wypraw, gdy chodzi o intensywność doznań estetycznych i poznawczych. Nawet Petra w Jordanii jest już teraz za nią, dopiero na drugim miejscu. Czy wrócę tam jeszcze? Bardzo, ale to bardzo bym chciał!

Fotografie autora oraz z serwisów Flickr i Pinterest

Zygmunt Wojski, „Od Łupi do Parany i Amazonki”, s. 165. Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów. Ukazują się w drugi czwartek miesiąca.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy o kontakt z redakcją magazynu „Culture Avenue”.

Galeria



Dwór indo-portugalski z kaplicą.



Dwór indo-portugalski w Betalbatím.



Dom indo-portugalski w Goa.



Typowa willa w Goa w stylu indo-portugalskim.



Goa. Bazylika Dobrego Jezusa.



Katedra w Goa.



Katedra z Muzeum Sztuki Sakralnej. Goa.



Kościół św. Kajetana, zwany też kościołem Opatrzności Bożej.



Portugalski kościół Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia w Pangim.



Nawa Bazyliki Dobrego Jezusa. Goa.



Portugalski krzyż przed Bazyliką Dobrego Jezusa w Goa.



Kościół św. Franciszka w Starym Goa.



Nawa kościoła św. Franciszka. Goa.



Rzeźby w kaplicy Cudownej Matki Boskiej. Kościół św. Franciszka. Goa.



Srebrny grobowiec św. Franciszka Ksawerego w Bazylice Dobrego Jezusa w Starym Goa.



Sufit nad Mauzoleum św. Franciszka Ksawerego. Bazylika Dobrego Jezusa. Stare Goa.



Nagrobek św. Franciszka Ksawerego. Goa.



Fort portugalski w Goa.



Goa. Pole ryżowe.



Goa. Krajobraz.



Południowa część Goa.

Poprzednia część „Dziennika z podróży”:

<https://www.cultureave.com/wyspy-zielonego-przyladka-2006-cze-sc-ii/>

Kolejna część Wspomnień z podróży Zygmunta Wojskiego ukaże się w czwartek, 8 sierpnia 2019 roku.

Plastyczny Gdańsk



Katarzyna Szrodt przy pracach Janusza Migacza podczas wystawy „W drodze. Kontynenty” w Wejherowie.

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)

Spotkania z płomieniem sztuki zostawiają coś po sobie...

(Adam Zagajewski)

Dwa tygodnie czerwca spędzone przeze mnie w Gdańsku, zawdzięczam wieloletnim badaniom nad dorobkiem polskich artystów plastyków tworzących w Kanadzie i staraniom, by ten powojenny rozdział polskiej sztuki emigracyjnej włączony został do polskiej historii sztuki. Artyści, którzy do tej pory nie byli obecni w kraju, powoli i różnymi drogami do niego powracają. Dzieje się to często w wyniku ofiarowywania prac i archiwaliów placówkom kultury lub dzięki wystawom, na których artyści-imigranci prezentują swoje prace, przypominając polskiemu środowiskom artystycznym o swoim istnieniu.

Tamara Jaworska, wybitna gobelinistka, która od 1969 roku mieszkała i tworzyła w Toronto, przekazała w zapisie testamentowym 17 gobelinów Muzeum Narodowemu w Gdańsku. Muzeum, czując się wyróżnionym tym darem, planuje w 2021 roku prezentację dorobku Tamary Jaworskiej oraz wydanie monografii artystki. W ramach tego projektu gościłam w Muzeum Narodowym badając prywatne archiwum Tamary Jaworskiej oraz przygotowując plan działań zmierzających do powstania wystawy. W ten to sposób artystka, której kariera znakomicie rozwijała się w Polsce lat 50. i 60., nagle zmuszona do opuszczenia kraju po 1968 roku, teraz powróci do świadomości miłośników sztuki, a ci wszyscy, którzy zechcą obejrzeć wystawę, wreszcie ujrzą słynne „tkane obrazy” – jak określane były przez ekspertów monumentalne gobeliny Tamary.

Szczęśliwą formą emigracji, która zawsze w przypadku ludzi wrażliwych i twórczych, niesie ze sobą bolesne doświadczenie utraty środowiska artystycznego, jest połączenie dwóch światów: tego, z którego pochodzimy – ojczyzny i tego, który stał się nowym miejscem życia. Coraz więcej artystów plastyków, którzy wyjechali z kraju na początku lat 80. zabiega o wystawy w Polsce. Daje im to prawdziwą satysfakcję, że mogą pokazać swoje prace, tym bardziej, że organizacja wystaw, przestrzeń wystawiennicza, katalog, obecność na wernisażu mediów – czyli całość związana z właściwą prezentacją sztuki – wszystko jest na dużo wyższym poziomie niż w Kanadzie. Artyści znający realia kanadyjskie wiedzą, że profesjonalna przestrzeń jest dużym wydatkiem dla artysty, do tego należy dodać koszt katalogu, wernisażu, jeśli przewidziany jest symboliczny poczęstunek – to wszystko skutecznie hamuje chęci i możliwości przygotowania wystaw. Stąd też coraz rzadziej artyści polscy organizują pokazy swoich prac w Kanadzie, czekając na propozycje galerii, z którymi są związani, bądź – uczestnicząc w wystawach w Polsce i Europie.



Kuba Bryzgalski, Portret profesora Andrzeja Dyakowskiego na wystawie „W drodze. Kontynenty” w Wejherowie.

Gdy dowiedziałam się, że 6 czerwca w Wejherowskim Centrum Kultury – Filharmonii Kaszubskiej, odbywa się wernisaż „W drodze. Kontynenty”, uznałam za swój obowiązek wyprawę do Wejherowa, gdyż do udziału zaproszeni zostali dwaj polscy malarze mieszkający w Kanadzie: **Janusz Migacz** z Montrealu i **Kuba Bryzgalski** z Toronto. Temat „W drodze” potraktowany został bardzo szeroko i pojemnie, co pozwoliło na różnorodność prac – od zdjęć, poprzez grafikę, malarstwo i rzeźbę oraz wielość technik, stylów i tematów. Zgromadzone prace pokazały

odmienne światy twórcze, zbyt może rozproszoną różnorodność, ale wystawa potwierdziła fakt, że sztuka w Polsce ciągle jest ważna i wspierana przez instytucje kultury. Jasny i przestronny gmach Filharmonii Kaszubskiej dysponuje nowoczesnymi wnętrzami znakomicie wydobywającymi walory sztuki. Wydany katalog z esejem „W drodze” Andrzeja C. Leszczyńskiego otwiera szeroką perspektywę na tytułowy motyw drogi w aspekcie literackim i filozoficznym. (dwa obrazy – Janusz Migacz: Studium modelu; Kuba Bryzgalski: Portret profesora Andrzeja Dyakowskiego).

Drugi wernisaż, na którym w „Mlecznym Piotrze” ceramicy prezentowali wystawę poetycko nazwaną „Nie/Wypaleni”, porwał mnie i zachwyił – poziomem prac, bogactwem form ceramicznych, rozmachem wernisażu, atmosferą przestrzeni i energią artystów obecnych na pokazie. „Mleczny Piotr” to budynek położony na terenie dawnej Stoczni Cesarskiej, należącej do belgijskiej spółki. Artyści doszli do porozumienia z właścicielem i mają tu swoje pracownie w zamian za prowadzenie działalności kulturalnej, gdyż obie strony uznały, że w dzisiejszym świecie nadrzędną wartością jest sztuka. Ceglany budynek o powierzchni 2 tys.m² wpisany jest do rejestru zabytków. Na dwóch kondygnacjach powstały pracownie: ceramiczne, malarskie, rzeźbiarskie, fotograficzne. Ostatnia kondygnacja jest olbrzymią przestrzenią wystawienniczą. Na wystawie „Nie/Wypaleni” Gdańska Grupa Ceramiczna pokazała

swoje prace i przyznane zostały nagrody dla prac najlepszych, co stanowi znakomitą zachętę do dalszej pracy. Przechadzając się wśród rzeźb prezentowanych na trzech kondygnacjach, rozmawiając z artystami, słuchając muzyków dających koncert, pomyślałam o „moich artystach” w Kanadzie. Życzę im takiego hucznego wernisażu, spełnienia marzeń wielu, by znów zorganizowano im w kraju dużą, grupową wystawę, na wzór wystawy „Jesteśmy”, z 1991 roku, z Galerii Zachęta w Warszawie.



„Dwoje” Marianny Dudek. Od lewej: artystka-ceramik Marianna Dudek, Ewelina Puczyńska, Kika Misztela, Katarzyna Szrodt. Wystawa „Nie/Wypaleni” w Gdańsku.

Warto wracać do kraju, by włączyć się w nurt sztuki tu płynący.

Wyjechał. Doświadczył melancholii podróży okrętem, chłodu poranków pod namiotem, oszołomienia przyrodą, ruinami, goryczy rozstań. Powrócił

- cytuje Gustawa Flauberta A. C. Leszczyński w katalogu

wystawy „W drodze”. Trzeba podtrzymywać zanikający w naszym świecie płomień sztuki. Walka toczy się o naszą wrażliwość na piękno, o przenikliwość myśli, świadomość przynależności do dokonań minionych epok, o to, by zadać sobie kilka istotnych pytań. Czy sztuka mówi do nas, o nas, czy nas dotyczy? Tak, dotyczy.

Legendarna felietonistka z Londynu – Krystyna Cywińska.



Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Przez szereg dekad “polski Londyn” delectowało cięte pióro zadziornej felietonistki Krystyny Cywińskiej. W “Dzienniku Polskim” i “Tygodniu Polskim” brylowała jej ironia i dociekliwość. Zawsze uważałem, że brakować nam będzie smaku specyficznej atmosfery “polskiego Londynu” bez wyboru felietonów Krystyny. Ona, niestety, nie zabiegała o to i dziś tylko zachowane, pojedyncze egzemplarze pisma radują naszą duszę. Patrząc na jej felieton “Ojczyzno, gdzie jesteś?” sprzed wielu lat. Wtedy to “Polityka” publicznie spytała dlaczego emigranci nie wracają, a przecież byliby potrzebni. Zacytowała odpowiedzi kilku bardziej znanych ludzi z emigracji. Mrozek przebywał

wówczas w Meksyku. Jego głos brzmi teraz jeszcze donośnie i warto go przypomnieć, bo nadal daje do myślenia.

Krystyna Cywińska przypomniała, że Mrożkowi “przedwojenne wartości, tak mu bliskie, zniszczyło pięć lat okupacji i czterdzieści parę lat komunizmu. Z okupacji naród wyszedł poraniony fizycznie, pokrzywiony moralnie, a przede wszystkim śmiertelnie zmęczony. A komunizm jego zdaniem “uruchomił w Polsce chama”. Tego prawdziwego, naturalnego, który z pochodzeniem społecznym nie ma nic wspólnego.

Jego definicją jest arogancja, absolutna pewność, że mu się wszystko należy, a nic go nie obowiązuje, więc wszystko należy mu się za nic. W Polsce przedwojennej – pisze Mrozek – nie było motłochu, nawet lumpenproletariat, nawet świat przestępczy miał jakieś swoje reguły gry, kodeksy i poczucie honoru. Była ciemnota, ksenofobia, niezgultstwo, ale chamstwo – nie. Cham nie był w modzie. Dopiero komunizm wyzwolił chama. Zniszczył społeczeństwo, które go kontrolowało i zastąpił je państwem, które nic nie miało przeciwko chamowi, jeśli cham nie miał nic przeciwko niemu... Komunizm odszedł, cham pozostał.

O Krystynie Cywińskiej:

<https://www.cultureave.com/felietonistka-z-pazurem/>

Dożywotnio skazany na Polskę



Winicjusz Gurecki

28 czerwca 2019 roku zmarł w Mississaudze (Kanada) Winicjusz Gurecki - poeta, działacz Solidarności. Miał 80 lat.

Wojciech Piotr Kwiatek

*W moich wierszach słowiczek nie
śpiewa,*

*Żadne dziecko się w nich nie
zaśmieje,*

Bo mym piórem- twarda rzeczywistość,

Atramentem – zdeptane nadzieje.

Tak napisał w jednych ze swych wierszy Winicjusz Gurecki, działacz „Splidarności”, od 1987 roku przymusowy emigrant (paszport w jedną stronę!) na kanadyjskim bruku, opisując lakonicznie i swój poszarpany polski los i swoją sytuację psychiczną. Jak jego typowa dla tamtego pokolenia biografia, tak i wiersze z tomiku „Smugi cienia” dzielą się na dwa okresy: polski i emigracyjny. Ten pierwszy jest polityczny, dramatyczny i „zdarzeniowy”, ten drugi jest – refleksyjny i egzystencjalny. Ale i w jednym i w drugim powstały dobre, chwilami daleko odbiegające od „patriotycznego sznytu” wiersze, w których chodzi o coś więcej niż tylko kombatanckie „noszenie sztandaru”, krzepienie ducha, umacnianie woli walki z „czerwonym”, ciągle

odbudowywanie słabnącej chwilami nadziei. Gdy Gurecki napisze:

Za broń całą dziś musi nam starczyć

Myśl ukryta i trochę bibuły (...)

(Przeznaczenie)

Słysząc tu nie tylko dramat prześladowanego, wyzutego z życia i nadziei solidarnościowca, ale i gorzkość „człowieka zredukowanego”, a więc refleksję intelektualną. Motyw ten pogłębia jeszcze refleksja historyczno-historiozoficzna z wiersza „Ojczyzno...”:

Czy kiedyś wreszcie przestaniesz nas dzielić

Na złych i dobrych – na głodnych i sytych (...)

To także często w polskiej tradycji powracające pytanie dotyczy jednego z najboleśniejszych polskich problemów: tego, że Ojczyzna nie traktowała sprawiedliwie swoich dzieci, że ich dzieliła, upokarzała, odrzucała jednych, a wynosiła innych,

niekoniecznie oceniając według zasług, że to, co Broniewski nazywał „rachunkami krzywd”, to polski chleb powszedni. Zresztą przytoczony na wstępie wiersz brzmi niemal identycznie jak początek znanego wiersza Broniewskiego „Mannlicher” (Nie głaskało mnie życie po głowie/ Nie pijałem ptasiego mleka), co wskazuje na nawiązanie do tradycji poezji (w dobrym tego słowa znaczeniu) rewolucyjnej, romantycznej. Świadomość tej niesprawiedliwości ciska Gurecki w twarz Polsce jaruzelskiej i kiszczakowskiej, Polsce zbitej, internowanej, podzielonej, krwawiącej, dmuchające w tłące się iskry nadziei niemal wbrew niej, Polsce okłamywanej, sprzedawanej. Polsce, której jakby w tej sytuacji właściwie nie było. Odżywają wtedy tęsknoty za normalnością trudną, ale godną:

Aby na prawdę poznać życie,

Musiałbyś również się urodzić

W starej czynszowej kamienicy

Dzielnicy Chojny miasta Łodzi.

Tam zwykła szara ludzka bieda

Skradała się na strome schody,

Po których mama z wielkim trudem

Dźwigała ciężkie wiadra wody (...).

(Poznać życie)

Niestety – to już tylko wspomnienie. Nie ma już tamtego świata, a za chwilę nie będzie tego już i tego tu – koszmarnego, ale swojego. Ojczyzny. Bo oto już gdzieś podstawiają pociąg lub tankują zbiorniki samolotu, który przewiezie przez Styks, do obcego, nieznanego świata:

Dziś ostatni raz pogadamy

Przy butelce o sprawach naszych.

Gorycz czai się na dnie szklanki

Spakowana walizka straszy...

(Dziś ostatni raz)

A owa ojczyzna – to przecież bardzo różne rzeczy, ale zawsze cenne. Oddalenie tylko dodaje im wartości, czyni ważnymi, niezależnie od ich natury i funkcji:

Plik amatorskich zdjęć w albumie,

Gwóźdź – kiedyś w ścianę krzywo wbity,

W szufladzie – listy przeczytane,

W barku – łyk whisky niedopity (...)

(Cóż pozostanie)

A gdy już się przez ten Styks przepłynie – sentymenty należy odłożyć, przynajmniej na początku. Naga prawda pobrzmiewa czystym estetycznym tragizmem, niemal jak z Herberta:

Tam byłeś wrogi, tu jesteś obcy,

Zaciśnij zęby, już raz wybrałeś!

(Wigilia 1987)

Emigranckie życie może być koszmarem, trzeba o tym pamiętać. To jedna więcej pozycja w rachunku, który wystawić się powinno tym, którzy ludzi Sierpnia okradali z ojczyzny (a dziś chodzą w glorii tych, co „uratowali Polskę”):

Nieraz wspomnienie sen ci odbierze,

Wśród nocy wstawać każe

I – albo zdusisz w sobie tęsknotę,

Albo – spakujesz bagaże (...)

(Do Kolegi)

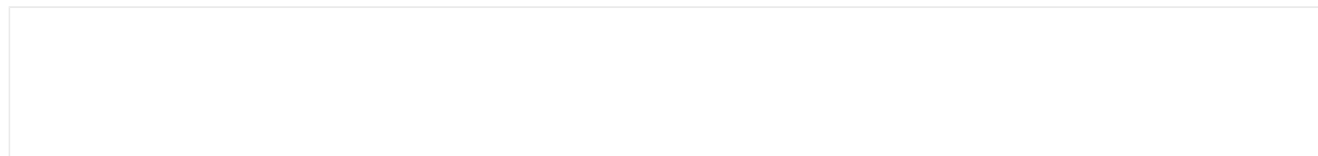
Emigrant, zwłaszcza polityczny, zawsze nasłuchuje. Czeką. Ma nadzieję. Nadzieję na zmianę, na to, że – trawestując Mickiewicza – ktoś zawoła. Ale dla ludzi takich jak Winicjusz Gurecki czas nie miał dobrych wiadomości. Paskudzające się rany wspomnień stanu wojennego nie miały szans zagoić się. Wsłuchiwanie w głosy z ojczyzny kończyło się jeszcze większą goryczą – goryczą kolejnych klęsk, tracenia kolejnych złudzeń: napływały informacje o kontraktowych wyborach, o spychaniu w niebyt ludzi Sierpnia, o „okrągłym stole”, o tym, że „czerwoni” ręka w rękę z Solidarnością...

Nie będzie rozliczeń

Co było – to było

Pozwólcie chwastami

Zarosnąć mogiłom.



Sto procent w Senacie

Trzydzieści pięć w Sejmie

Generał też Polak

Nie trzeba oddzielnie (...)

(Siadajcie)

A przecież się słucha, żyje się tym krajem, który tak bardzo nie daje się kochać, a który tak trudno z serca wyrzucić. Cóż – polski

los. Nie wszyscy łatwo adaptowali się na emigracji, wielu nie zaadoptowało się i nie zaadoptuje nigdy. To ci, o których pięknie napisał poeta:

Można uciec przed nędzą i głodem,

Przed milicją, więzieniem i wojskiem,

Ale wszędzie jesteście skazani,

Dożywotnio, zaocznie – na Polskę.

(Tęsknota)

To oczywiście refleksja „pro domo sua”. Takim skazanym jest przecież sam Autor. Co może złagodzić dotkliwość kary? To, co często ocala człowieka: drugi człowiek, miłość. I przeświadczenie, że się w życiu czegoś chciało. Toteż te zwrócone do żony – towarzyszki emigracyjnej tułaczki – słowa Gureckiego, tchną mimo wszystko nadzieją i ufnością:

Nie narzekaj na tę naszą wspólną drogę,

Że ciernista i zakrętów na niej tyle,

Przecież sama obiektywnie musisz przyznać,

Że się ze mną nie nudziłaś, ni przez chwilę.

Ciekawe życie... Chińskie przekleństwo. Ale dla Polaka – dziwne słowa. Nie bardzo złe, choć może nie bardzo dobre. Niemal każdemu z nas dane jest właśnie coś takiego: ciekawe życie...

Więc może to jednak przekleństwo? Może należałoby się co dzień modlić o życie nudne? Nie wiem. Autor „Smug cienia” znajduje optymizm.